



Osóda Peruna

SYLWIA SOSIŃSKA

CÓRA PERUNA

SYLWIA SOSIŃSKA

TOM 2

Rozdział I To nie podlega dyskusji

Gdyby nie to przeklęte przeznaczenie, dwudziesty siódmy września dwa tysiące dziewiątego roku – dzień szesnastych urodzin Julka – wyglądałby zupełnie inaczej.

Pewnie też nie kładłby się spać, ale z powodu imprezowania z kolegami, a nie dlatego, że była pełnia księżycy i musiał wraz z ojcem iść na zwyczajowe polowanie. Pewnie uderzałby kijem w piniatę, a nie ostrym mieczem w szyję wroga, który czał się w wąskiej alejce na bezbronnych śmiertelników. Pewnie po prostu by się bawił, zamiast szkolić się do swojej przyszłej pracy.

A potem stanąłby przed rodzicami, założył kosmyk długich włosów za ucho, wziął głęboki oddech i powiedział to samo, co zamierzał powiedzieć teraz. Tyle że nie miałby z tyłu głowy myśli, że właśnie próbuje zrujnować ustalony wiele wieków temu porządek, oszukać bogów i nagiąć prawa rządzące całym światem.

– Idź spać, zamiast gadać głupoty – fuknęła na niego matka, przecierając zmęczone oczy. – Dziewczyna, też wymyślił – dodała i prychnęła pod nosem.

– Mówię poważnie – niemal jęknął.

– Julek, ja cię proszę – powiedział ojciec, wywracając oczami.

– Ale, tato...

– Żadnego „ale” – przerwał mu. – Dobrze wiesz, że to nie podlega dyskusji.

– Co nie podlega dyskusji? – spytał żałośnie. – To, że nigdy nie uważałam się za chłopaka, że nigdy nie byłam chłopakiem? Że nie chcę być żadnym pogromcą, że...

– Tak, właśnie to. I nie wydurniaj się z tym „byłam” – dodał.

Julek – który Julkiem wcale się nie czuł – popatrzył po swoich rodzicach, wypuszczając powoli powietrze.

Wiedział... *wiedziała*, że tak będzie. Wyjście z szafy nie należało do najłatwiejszych zadań nawet dla zwykłych ludzi, których przeznaczenia nie dyktowały żadne wyższe byty. Oni też często spotykali się z niezrozumieniem, pogardą i niedowierzaniem. Ich też odrzucano, odpychano, negowano ich słowa i ignorowano uczucia, uważając genitalia za jedyne i nieomyłny wyznacznik płci. Co więc miała powiedzieć ona – ona, nie on! Od zawsze posiadała zdolności, które skazywały ją na odgrywanie roli mężczyzny niezależnie od tego, kim była w rzeczywistości.

– Kiedy ja naprawdę... – spróbowała znowu, usiłując opanować drżenie głosu. – To nie tak, że coś sobie wymyśliłam, to się nie zaczęło wczoraj...

– Przestań. – Matka machnęła ręką. – Idź spać i zastanów się nad sobą. Wrócimy do tego rano.

Przełknęła ślinę. Jej ramiona opadły, plecy zgarbiły się, a pięści rozluźniły.

– Jasne – mruknęła z rezygnacją, po czym powoli odwróciła się i ruszyła w stronę schodów prowadzących do jej pokoju na piętrze.

Oczywiście, że jej nie rozumieli. Nawet sama siebie nie rozumiała, więc jak mogła liczyć na to, że pojmą ją przedstawiciele starszego pokolenia, wychowani w poszanowaniu dla prostych, dawno ustalonych zasad?

Perun, bóg burz i piorunów, stwórcy lądu, obdarzał swą mocą mężczyzn, by walczyli z wampirami, nie dopuszczając do zagłady ludzkości. Każdy otrzymywał jedną konkretną moc, nadnaturalną zdolność, która miała pomagać w walce. Jedni dostawali supersiłę, inni telekinezę, jeszcze inni władzę nad ogniem. Możliwości było mnóstwo, ale nie dało się wybrać samodzielnie.

Weles, bóg wody i pan zaświatów, udzielał swego błogosławieństwa wybranym kobietom, dzięki czemu te wchodziły w posiadanie zdolności magicznych. Były to jednak zdolności zupełnie inne niż te od Peruna. Bardziej ogólne, zwykle rytualne, a rozwijane samodzielnie w wybranych przez siebie kierunkach. By czarownice mogły wspierać i pomagać tym, których uważały za wartościowych.

Tak było od zawsze, a teraz ona – Hanna, nie Julian Maliniak – próbowała to zburzyć tylko dlatego, że...

No właśnie, dlaczego?

Dlatego, że to, co mam w głowie, nie pasuje do tego, co mam między nogami – stwierdziła w myślach. – Nigdy nie pasowało i nigdy nie będzie pasować. Ale nikogo to nie obchodzi.

Pociągnęła nosem, zamykając za sobą drzwi. Położyła się na łóżku, wtuliła twarz w prześcieradło i nakryła głowę poduszką, by nikt nie usłyszał jej płaczu.

Pewnie, że nikogo to nie obchodzi... W końcu mam tę przeklętą moc. Błogosławieństwo Peruna, ha, też mi błogosławieństwo, podła klątwa! Ale Peruna, nie Welesa, więc muszę być chłopakiem. Nie ma innej opcji. Bogowie, czemu mnie taką stworzyliście?!

Czy miała jakieś alternatywy? Tego nie wiedziała. Przez jakiś czas łudziła się, że może rodzice ją zrozumieją, że wymyślą jakieś wyjście z tej sytuacji. Ci jednak nie tylko jej nie zaakceptowali, ale nawet nie potraktowali poważnie.

Na co liczyła? To nie do rodziców należała decyzja, że skoro Julek przyznał się do bycia Hanią, to od teraz może porzucić misję pogromcy i rozpocząć życie jako czarownica. Jeśli ktokolwiek mógł to zrobić, to tylko bogowie.

Ale czy oni w ogóle istnieją? Może nie ma tam nikogo, a ta niby-religia to tylko wymysł, mający na celu zniewolenie nas? O, bogowie... jeśli w ogóle tam jesteście... wysłuchajcie mnie, pomóżcie mi, proszę, błagam! Czemu daliście mi to przeklęte

*ciało? Jeśli nie możecie zmienić mojego życia, pozwólcie mi...
rzucić wszystko w diabły i być nikim!*

– Krążę, krążę dookoła, o przybycie bogów wołam – powiedziała cicho Bożena, obracając się wolno wokół własnej osi. W rękach trzymała ceramiczną miskę, z której unosił się dym żywicznego kadzidła. – Magiczny krąg zataczam, duchy przodków zapraszam.

Usiadła na ziemi i odłożyła miskę na leżącą przed nią drewnianą tacę. Odetchnęła głęboko, a potem przysunęła do siebie moździerz oraz słoiczki z ziołami.

– Bogowie, daliście mi syna. Perunie, pobłogosławiłeś mego syna. Syn jest synem i zawsze nim będzie. Niech i on o tym pamięta. Niech przestanie wprowadzać zamęt do naszego domu. Niech ponownie zapanuje spokój – szepnęła.

Nie to, że wierzyła w osobowego Peruna czy innych bogów; nigdy ich tak nie traktowała. To jednak nie przeszkadzało jej zwracać się do nich w czasie rytuałów. Do kogoś przecież musiała.

– Kozłek dla spokoju ducha – oznajmiła, biorąc szczyptę suszonego kłącza i przesypując do moździerza. – Buzdyganek dla męskości. – Wzięła szczyptę z drugiego słoiczka. – Piołun dla rozsądku. Mięta dla oczyszczenia. I... – zawahała się, ale po chwili kontynuowała: – I czarcie ziele, ponieważ wiem, co najlepsze dla naszej rodziny.

Tego ostatniego dodała tylko odrobinę. Nie chodziło w końcu o otrucie kogokolwiek, a o rzucenie zaklęcia na nagięcie woli i porządkowanie się.

Tak naprawdę miała wątpliwości, czy jej czary cokolwiek dadzą. Gdyby Julek dostał jakąś normalną zdolność... Ale nie. Gdy inni pogromcy władali ogniem, podnosili samochody albo czytali w myślach, jej syn posiadał tarczę ochronną,

która uniemożliwiała użycie na nim jakiegokolwiek innej mocy. Nienawidziła tego z całego serca. Mimo to próbowała.

Zamknęła oczy, wdychając zapach kadzidła, a po chwili wzięła moździerz i tłuczek, by dokładnie sproszkować i zmieszać ze sobą wszystkie wybrane zioła.

– Oto przyprawa na jutrzejsze śniadanie – wyrecytowała. – Taka moja wola. Niechaj tak się stanie – zakończyła.

– I co? – spytała mama zamiast powitania, gdy Hania zeszła na śniadanie. – Zastanowiłeś się nad sobą? Przeszły ci te głupie pomysły?

– To nie są głupie pomysły – powiedziała Hania cicho, wbijając wzrok w swoje stopy, w jej oczach stanowczo zbyt duże jak na dziewczynę. – Ja naprawdę...

– Nonsens – przerwała jej. – Kiedyś było: „mamo, tato, jestem gejem”, ale przestało robić wrażenie, to młodzież wymyśliła sobie: „mamo, tato, jestem córką, nie synem”. Wszystko dla zwrócenia uwagi. Czego ci tu niby brakuje? Za co się na nas wyżywasz?

– Bożenko, spokojnie – odezwał się ojciec, przetykając kęs naleśnika. – Może zacznijmy inaczej. – Spojrzał na Hanię. – Powiedz, jak ty to sobie wyobrażasz? Jesteś moim dziedzicem. Każdy pogromca może mieć tylko jednego. Ja mam ciebie. Linia nie może tak po prostu się urwać, chyba że wszyscy zginiemy.

– Wiem – jęknęła Hania piskliwie. – Po prostu... wołałabym być czarownicą – oznajmiła prawie szeptem.

– Bo co, bo nie chce ci się trenować, tak? – podjęła matka. – Zawsze *byłeś* strasznym leniem – dodała z naciskiem na czasownik, jakby chciała podkreślić w ten sposób, że nie będzie akceptowała żeńskiej formy, ale nie ma ochoty tego komentować w tym momencie.

– Wcale nie, ja...

– Oczywiście, że tak. Ojciec dawno już wspominał, że się nie przykładasz.

Spostrzeżenie było trafne. Hania rzeczywiście nie chciała trenować fizycznie, jednak nie było to spowodowane lenistwem. Jej problem stanowiły mięśnie. Nie chciała wyglądać jak mężczyzna; nie chciała mieć mięśni, szerokiej klatki piersiowej, mocnego karku... Bała się, że jeśli przyłoży się do ćwiczeń, jej ciało będzie przerażać ją jeszcze bardziej niż teraz.

– No jedz, na co czekasz? – ponagliła ją matka. – I pij herbatę, bo wystygnie.

Hania się skuliła. Tego też nie chciała; tak naprawdę bała się przybrać na wadze w jakikolwiek sposób. Dopóki utrzymywała szczupłą sylwetkę, było źle, ale nie tragicznie. Upiła jedynie łyk napoju.

– Nie jestem głodna – oznajmiła prawie szeptem.

– Pewnie, pluj na wszystko, co dla ciebie robimy.

– Nie pluję, ja... uch...

Wzięła głęboki wdech, po czym nałożyła sobie na talerz kromkę suchego pieczywa.

– Nazywasz to śniadaniem? Weź też pomidory – naciskała matka, podsuwając talerz bliżej z dziwnie natarczywym wzrokiem.

– Daj mu spokój – rzekł ojciec z westchnieniem. – Niech je, co chce. Jest prawie dorosły. Będzie głodny, to sobie weźmie.

– No, ale wyraźnie domaga się uwagi. Więc proszę, daję mu swoją uwagę – oświadczyła i spojrzała z powrotem na Hanię, która w końcu nałożyła na chleb plaster obsypanego ziołami warzywa.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale mężczyzna odezwał się pierwszy.

– Coś w tym jest – powiedział. – Może naprawdę czegoś ci brakuje, Julek? Jak chcesz, to zrób sobie przerwę w treningach

i polowaniach. Powiedzmy... tydzień. Zamiast tego możemy jechać w sobotę na ryby, chcesz?

– Chcę tylko, żebyście... żebyście pozwolili mi być dziewczyną – rzekła Hania, nie odwracając wzroku od pomidorów. Smakowały gorzko. Zupełnie jak ta rozmowa. Przełknęła ślinę; głos jej drżał. – Nie chodzi mi o uwagę.

– Dobrze wiesz, że tak się nie da. Urodziłeś się z mocą pogromcy, więc jesteś pogromcą. I jest na to kilka dowodów, na przykład to, że twoja mama dostała moce, gdy była w ciąży.

– Tak, wiem, po prostu...

– Po prostu jesteś leniem śmierdzącym – stwierdziła matka. – Przestań wymyślać. Jeśli ojciec się zgadza, to pewnie, możesz sobie zrobić tę przerwę, ale potem...

– Nie o to mi chodzi! – Hania półświadomie niemal krzyknęła. – Dlaczego wy mnie w ogóle nie słuchacie? Nie chcę przerwy, nie wołam o uwagę, ja po prostu nie jestem „Julek”! I nigdy nie byłam! – zawołała łamiącym się głosem. – Nie chcę przerwy, chcę być sobą, na Welesa!

– Do pokoju – fuknęła matka lodowatym tonem. – Natychmiast. Jeśli wolisz pyskować, zamiast jeść, to nie będzie ani jednego, ani drugiego. Wyjdź.

– Pewnie, że wyjdę!

Hania prędko wstała z miejsca i wybiegła z kuchni.

Rodzice jej nienawidzili, to było pewniejsze niż fakt, że czuła się teraz jak najgorszy śmieć. Nie obchodziła ich. Jej uczucia były ostatnim, co ich interesowało; istniało tylko przeznaczenie i stary porządek, do którego przywykli.

Zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju i oparła się o nie, usiłując pohamować głośny szloch. Przecież zdawała sobie sprawę, że będzie trudno. Nie wiedziała nawet, czego innego mogłaby oczekiwać. Na co więc miała nadzieję?

Obrzuciła zrozpaczonym spojrzeniem pomieszczenie, w którym mieszkała od urodzenia. Zielone ściany, meble z jasnego drewna, stary komputer na biurku, szkolne książki

na półkach... Jedynie przewieszona przez oparcie krzesła granatowa bluza, wciśnięty w kąt szkolny plecak i rozrzucone na komodzie papiery świadczyły o tym, że ktoś rzeczywiście żył tu na stałe. Nie było plakatów ulubionych zespołów czy sportowców przyklejonych taśmą do ściany, zdjęć w ramach, nawet rzuconego niedbale sprzętu do ćwiczeń.

To nie jest mój pokój. To pokój moich rodziców, ja tu tylko śpię.

Kiedy była młodsza, zatrzymywała się przy witrynach sklepów z zabawkami i patrzyła na lalki z taką tęsknotą, jakby za szybą stał fragment świata, do którego nie miała wstępu. Marzyła choć o małej kolekcji. Wyobrażała sobie, że stoją na półce nad jej łóżkiem, że czesze ich włosy i nadaje im imiona.

Z czasem marzenia zaczęły boleć. Coraz dotkliwiej odczuwała, że z tym ciałem coś jest nie tak, jak powinno. Czuła się w nim obco, jakby ktoś źle dopasował skórę. Zdarzały się chwile, gdy ogarniała ją tak silna rozpacz, że pragnęła rozszarpać je na strzępy gołymi rękami, byle tylko przestać w nim tkwić.

Nie miała nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć. Nie miała rodzeństwa, kuzynów widywała rzadko, dziadkowie od strony matki mieszkali po drugiej stronie kraju i nigdy nie byli z Hanią szczególnie blisko. Ci od strony ojca zginęli z rąk wampirów. Do tej pory nikt nie wiedział, co dzieje się w jej wnętrzu.

W końcu przestała marzyć o zmianach. O porcelanowych lalkach i książkach, które naprawdę chciała czytać. Bezpieczniej było nie dać po sobie niczego poznać.

– A co by się stało, gdybym był dziewczynką? – spytał, siedząc na kolanach babci i ozdabiając ciastka.

Miał tylko sześć lat, ale już wtedy chętniej bawił się w dom niż w strzelanki i wolął spędzać czas z babcią w kuchni, niż biegać z drewnianym mieczem.

– Och, kochanie. – Babcia zaśmiała się cicho. – Kochalibyśmy cię tak samo.

– Mama i tata też? – dopytywał. – Kiedyś mówili, że to dobrze, że jestem chłopcem.

Kobieta, która nie wyglądała na dużo starszą od jego mamy, spoważniała i westchnęła krótko. Odstawiła na stół polewę, którą malowała na ciastkach specjalny symbol: krzyżyk oraz cztery przekrzywione kwadraty. Nazywała to znakiem Mokoszy, bogini ziemi.

– Mama i tata też – oznajmiła, ale jej głos nie był już taki stanowczy.

– A jeśli nie? – Julek odłożył cukrowe gwiazdeczki, które układał na środku każdego kwadracika, i odwrócił się bokiem, by popatrzeć babci w oczy. – Co by się ze mną stało, gdyby mnie nie kochali? Wyrzuciliby mnie do śmieci?

– My byśmy cię kochali, skarbie – zapewniła i rozciągnęła usta w lekkim uśmiechu. – Gdyby rodzice cię nie chcieli, bo byłbyś dziewczynką, po prostu mieszkałbyś u nas. Może nawet od samego początku.

– Aha... – Zastanowił się chwilę. – A jak miałbym na imię? Julka?

– Hania – odparła bez namysłu. – Zawsze chciałam mieć wnuczkę Hanię.

– Hania... – powtórzył powoli. – Podoba mi się. Chciałbym mieć na imię Hania.

Hania osunęła się na podłogę i wtuliła mokrą od łez twarz we własne kolana. Nie miała teraz nikogo, komu mogłaby się wyżalić.

Pociągnęła nosem, na chwilę podnosząc głowę; jej wzrok padł na czarny plecak.

A gdyby faktycznie rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady...?

Westchnęła, przecierając oczy. Owszem, byłoby miło, lecz miała tylko szesnaście lat, a do tego, mimo wszystko, musiała wypełniać misję, której tak nienawidziła. Rodzice nie kłamali; miała obowiązki i powinna przedłożyć je ponad własny komfort czy nawet zdrowie psychiczne.

Nikogo nie interesowało, że przymus walki z wampirami całkowicie ją wykańczał. Nie było ważne, że sobie nie radziła, że w tym wieku powinna już umieć zabijać, a nie tylko nędznie asystować swojemu ojcu; że była bardziej zawadą niż pomocą.

Co by się stało, gdyby zniknęła?

Wiedziała, że gdy w danym sektorze linia pogromców ulegała nagłemu przerwaniu, innemu pogromcy rodził się drugi dziedzic, którego zadaniem było zająć się tym miejscem, gdy dorośnie. Oznaczało to, że w najgorszym wypadku – gdyby jej ojciec zginął – sektor czekało kilka, może kilkanaście lat problemów... ale czym było kilkanaście lat względem nieskończoności?

Świat sobie poradzi. Natura sobie poradzi. Tata też sobie poradzi. Zgłosi do Rady, że stracił dziedzica, a oni coś wymyślą. Gdybym zniknęła, na dłuższą metę nie stałoby się nic złego. Wszyscy tylko by na tym skorzystali, prawda?

Gdy Hania otarła ostatnie łzy i poszła do szkoły, ta myśl tylko się wzmocniła.

Koledzy odzywali się do niej normalnie, nikt jej nie dokuczał, nie stała na pozycji ofiary. Ale nie była też nikim ważnym. Julian Maliniak, uczeń klasy drugiej o profilu biologiczno-chemicznym. Nie był przewodniczącym klasy, kapitanem żadnego klubu ani prymusem kółka matematycznego. Był przeciętnym uczniem, bez przyjaciół ani nawet bliższych

kolegów, ale też bez wrogów. Nie sprawiał problemów, nie osiągał sukcesów. Po prostu był.

A Hania?

Hania oficjalnie nie istniała.

Nikt o niej nie wiedział, nie figurowała w dokumentach, nikt nie interesował się tym, jak chciałaby być nazywana. Nikt nie wpadł na to, że przez cały czas czuła ogromny dyskomfort.

Nie chcę tu być, nie mogę tu być, to nie jest moje miejsce! – jęknęła w duchu, wchodząc do męskiej toalety.

Nie mogła jednak iść do damskiej. Musiała zagryźć zęby i załatwić się jak najszybciej – w kabinie, ponieważ nie byłaby w stanie zrobić tego przy pisuarze.

Najgorszą szkolną torturą były lekcje wychowania fizycznego, a konkretniej przebieranie się w strój sportowy wraz z chłopakami z klasy. Hania ledwo hamowała się przed wpadnięciem w panikę za każdym razem, także tego dnia.

Oddychaj i nie patrz na nich, oddychaj i nie patrz, oddychaj i udawaj, że wszystko jest w porządku – powtarzała sobie.

– Zawsze mnie zastanawiało, po co ci ten podkoszulek – odezwał się jeden z kolegów. – Słyszysz? E, Julek!

– Co? – Odwróciła się, zdawszy sobie sprawę, że słowa były skierowane do niej.

– No, zawsze na WF-ie masz ten podkoszulek pod drugim podkoszulkiem. Nie pocisz się w tym jak świnia?

– Eee... – zawahała się, poprawiając koszulkę na ramiączkach, którą rzeczywiście nosiła, ponieważ nie byłaby w stanie rozebrać się do półnaga. – Nie, to właśnie lepiej wchłania pot i mniej śmierdzą – powiedziała, przypominając sobie, co kiedyś przeczytała.

– Serio? – zdziwił się chłopak, ale nie czekał na odpowiedź. – Skoro tak twierdzisz.

Owszem, zadał pytanie z ciekawości, lecz nie czuł zainteresowania dłuższą, prawdziwie szczerą rozmową. Był tylko dalekim kolegą, znajomym z klasy. Jak wszyscy inni.

Hania mogłaby zniknąć – Julek mógłby zniknąć – i nikt by się nie przejął.

– Umówiłam cię do fryzjera – oznajmiła oschle matka, gdy usiedli razem do obiadu. – Trzeba ci w końcu ostrzyc te kudły.

– A-ale... – Hania prędko złapała sięgający łopatek ciemnoblonde kucyk, jakby ktoś chciał jej go ostrzyc już w tym momencie.

Nie pozbawiajcie mnie chociaż tej jednej rzeczy, proszę! To tylko włosy, wielu chłopaków nosi długie, pozwólcie mi...

– Nie będziesz się w naszym domu przebierał za dziewczynę – powiedziała matka tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Postanowiliśmy z ojcem, że trzeba ci jak najszybciej wybić z głowy te pomysły. Zaczniemy od tego.

– Poza tym długie włosy u pogromcy tylko przeszkadzają – dodał tata. – Są niepraktyczne. Łatwo ich użyć przeciwko tobie w czasie walki.

– Mogę je spinać w koka – rzekła Hania półszepem.

– Nonsens – prychnęła mama. – Jutro po lekcjach idziesz do salonu. Może jak zobaczysz się z normalną, zadbaną fryzurą, to przejdą ci te wymysły.

– Ale ja nie chcę! – jęknęła. – Lubię mieć długie.

– Nie pytam cię o zdanie, tylko informuję.

– Nigdzie nie pójde – oświadczyła, zaciskając zęby, by się nie rozplakać. – Nie proszę was przecież o stanik ani spódnice...

– Tego by tylko brakowało!

Przełknęła ślinę. Raz w czasie zakupów z matką zobaczyła różową koszulę w kwiaty. Męską, ale w delikatnym kolorze i we wzór, który rzeczywiście jej się podobał. Matka tylko ją ofuknęła. Bo to nie był odpowiedni strój dla pogromcy.

– Po prostu pozwólcie mi nosić długie włosy. Mogę o sobie decydować. Mam szesnaście lat, nie sześć.

– Ale zachowujesz się na sześć – stwierdziła kobieta. – Zresztą, dopóki mieszkasz pod naszym dachem, masz się słuchać. Nie podoba się, to możesz się wynosić.

– Jasne, jak zwykle. – Hania zacisnęła dłonie na sztucach. – Czy was w ogóle kiedykolwiek obchodziło, jak się czuję? – spytała, wbijając wzrok w talerz z nietkniętym kotлетem, rozgrzebanymi ziemniakami i napoczętą mizerią. – Że może... może nie lubię takich kolorów jak wy, może chciałabym się inaczej ubierać, może...

– Marsz do pokoju – przerwała jej matka. – Nie będziesz mówił o sobie jak o dziewczynie w naszej obecności.

Hania bez słowa rzuciła sztucce na talerz, rozpryskując wokół śmietanę i sos. Nie zwróciła na to uwagi; gwałtownie zerwała się z krzesła i pobiegła na górę.

Jej wzrok padł na ściany pokoju. Kilka lat wcześniej, gdy rodzice planowali remont, prosiła o fiolet. Tymczasem gdy pewnego dnia wróciła ze szkoły, zastała pokój pomalowany na zielono. Pamiętała to ukłucie w żołądku, które przyszło wraz ze zrozumieniem, jak niewiele znaczy jej zdanie.

Dość tego. Koniec. Wynoszę się stąd! Wynoszę się na zawsze. „Nie podoba się, to możesz się wynosić”? Doskonale! Nienawidzę ich! Nie obchodzi mnie żadna cholerna misja! Moja noga więcej w tym domu nie postanie!

Rozdział II W nieznane

Podręczniki i zeszyty, zwykle trzymane w szafce pod biurkiem, wylądowały na podłodze, a telefon został na stoliku przy łóżku. Do plecaka trafiło trochę ubrań, wszystkie pieniądze, jakie miała, latarka, składany nóż, butelka wody i lekki śpiwór. Nie brała nawet jedzenia; już od dawna jadła tylko wtedy, gdy nie miała wyboru, a tam, dokąd się wybierała, rodziców nie było – zatem nikt nie zamierzał jej do tego zmuszać.

Tam, czyli gdzie? Dokąd się wybieram?

Nie wiedziała. Chciała tylko znaleźć się daleko, gdzieś, gdzie nikt by jej nie szukał. Nie uciekała po to, by zwracać na siebie uwagę; zdawała sobie sprawę, że gdyby ją odnaleźli, po powrocie wszystko byłoby takie samo albo gorsze. Uciekała, by móc w końcu być sobą. Skoro nie mogła tego zrobić w rodzinnym domu, musiała spróbować gdzie indziej.

Gdy wybiła pierwsza w nocy, otworzyła okno i zeskoczyła z piętra.

Chociaż tyle mam z tych cholernych treningów – pomyślała, bez trudu lądując na trawie, a potem cicho przeskoczyła przez płot.

Biegła truchtem w stronę dworca autobusowego. Nie oglądała się za siebie z żalem czy tęsknotą; spojrzała na dom tylko raz, by upewnić się, że w żadnym oknie nie zapaliło się światło.

W trawie cykały świerszcze, gdzieś w oddali przejechał samochód. Nikt jej nie zatrzymywał. Nikt nie niepokoił. Nikt się nie interesował, dokąd biegnie o tej porze. Wokół było pusto; miasteczko już dawno pogrążyło się we śnie. Hania odnosiła wrażenie, jakby jej kroki dudniły, odbijając się echem od okolicznych budynków, budząc mieszkańców i informując o jej planach.

Jej kondycja, choć bez porównania do kondycji ojca, nie była najgorsza. Mimo że chuda, Hania mogła biec z plecakiem

bez problemu, aż po kwadransie dotarła na miejsce. Dopiero tam się zatrzymała i oparła dłonie o kolana, by wyrównać oddech i odczekać, aż serce wróci do normalnego, spokojnego rytmu.

Obrzuciła spojrzeniem tablicę, na której wyświetlano najbliższe odjazdy. Kraków, Tarnów, Rzeszów – za blisko. Ale za pięć minut odjeżdżał autobus do Warszawy. Idealnie.

Warszawa. Wielka i tłoczna, więc zginę w tłumie. Tam nawet o tej porze jest jasno i głośno. Nikt mnie nie rozpozna, nikt nie zapamięta, nikt nawet nie zwróci na mnie uwagi. Nic nowego. Postanowione. Warszawo, przybywam.

Prędko podbiegła do autobusu.

– Legitymacja jest? – spytał kierowca.

– Och... zapomniałam – odparła Hania. – Przepraszam. Wezmę normalny.

Mężczyzna wzruszył ramionami i przyjął pieniądze. Hania usiadła z samego tyłu, kładąc plecak na kolana.

Wciąż nie wyglądała tak, jak naprawdę by chciała. Marzyły jej się włosy rozjaśnione na platynowy blond, czarna plisowana spódnica, do tego lawendowy sweter z jakąś miłą dla oka aplikacją... Gdyby mogła, nosiłaby zakolanówki i dziewczęce buty na obcasie, zapinane z przodu na pasek. Przy chłodnej pogodzie zakładałaby płaszcz na guziki, taki z paskiem podkreślającym talię, a do niego elegancki beret. I stanik – z tych grubszych, których nie musiałyby szczególnie wypychać, by sprawiać wrażenie posiadania biustu.

Mogłaby się delikatnie malować. Podkreślać usta błyszcznikiem, subtelnie przyciemniać rzęsy, które bez tego miała dość jasne. Może nawet robiłaby sobie cienkie kreski, a powieki cieniowała – na przykład na fioletowo?

Gdyby tylko mogła...

Ale teraz nie mogła. Teraz musiała skupić się na tym, jak spędzi najbliższą dobę.

Hotel raczej odpada, nie mam aż tyle pieniędzy, muszę oszczędzać. Chwilę prześpię się na dworcu, może mnie nie wygonią. A potem... zobaczy się.

Z tą myślą usnęła, z głową wciśniętą w kąt.

Gdy dotarła na miejsce, trudno jej było uwierzyć, że tak po prostu to zrobiła: uciekła z domu. Zmęczona ciągłym udawaniem kogoś, kim nie jest, rozczarowana brakiem choćby nikłej próby zrozumienia, rozżalona i pełna smutku... spakowała się, wyszła z domu i pojechała do Warszawy.

Wychodząc z autobusu, zaśmiała się na głos. Nie czuła już senności; drzemka w trzęsącym się busie, choć fizycznie męcząca, pomogła jej odrobinę się zrelaksować.

Nigdy wcześniej nie zrobiła czegoś tak szalonego. Posłusznie wypełniała polecenia rodziców, choć wiele z nich było dla niej niekomfortowe.

Ale dosyć tego. Teraz była wolna.

Wolna... i sama w obcym mieście.

No właśnie. Sama. Więc co mam zrobić dalej? Jakieś plany, pomysły, porady? Nie? No kurczę, szkoda!

Był dopiero wczesny ranek; za wcześnie na galerie handlowe czy choćby zwiedzanie zabytków – na co i tak nie powinna sobie pozwalać z powodu bardzo ograniczonego budżetu. Może powinna już teraz zastanowić się nad noclegiem?

Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Poszukać czegoś w internecie, a potem wykasować historię. Ale nie, bo musiałś siedzieć i rozpaczać. Hanka... co jak co, ale twoje myślenie praktyczne nie istnieje.

Ale co miałyby wpisać w wyszukiwarkę? „Gdzie w Warszawie sypiają bezdomni”? Wtedy nie wiedziała nawet, że wybierze się do Warszawy.

Chodziła bez pomysłu ulicami. Ludzie wokół spieszyli się do pracy, do szkół, niektórzy do domów po nocnej zmianie... a ona szła przed siebie, nie wiedząc, jak będzie wyglądało najbliższe kilka dni jej życia.

Nie śmiała wychodzić myślami bardziej naprzód. Nie czuła, by miała takie prawo.

Zwiedzała galerie handlowe, gdzie – choć nie śmiała wydawać pieniędzy – pozwoliła sobie na oglądanie dziewczęcych ubrań i kosmetyków. Podziwiała zabytki, nawet jeśli tylko z zewnątrz. Robiła cokolwiek, byle tylko jakoś spędzić czas, którego nagle miała aż nadto.

W porze późnego obiadu kupiła w barze mlecznym najtańszą zupę pieczarkową. Potem usiadła w parku – i skończyły jej się pomysły.

Co powinnam zrobić dalej? Co się robi po ucieczce z domu do obcego miasta? Poza rozmyślaniem o tym, jak potwornie beznadziejne jest moje życie, bo to już przerobiłam kilkanaście razy.

Snucie się po mieście bez celu nie było komfortowe; Hania żałowała, że nie wzięła ze sobą choćby książki do czytania, ale w domu nie miała żadnej, która mogłaby jej dać prawdziwą przyjemność. Miała encyklopedie o uzbrojeniu, książki historyczne, fantastykę naukową, nawet kilka horrorów...

A ona chciała czytać romanse.

Nawet te uważane za kiepskie, z irracjonalnymi wyobrażeniami wampirów. Nawet te bez polotu czy ambicji, w których wątek romantyczny był nie tyle na pierwszym, ile na jedynym planie.

Hania marzyła o miłości.

Wiedziała, że nie ma na co liczyć w rzeczywistości, więc pragnęła zanurzyć się w nią w świecie wyobrażonym. Oglądała komedie romantyczne, ściągając je nielegalnie na dysk, a potem usuwała ze wstydem i obawą, że rodzice się dowiedzą. Czytała opowiadania, w których nastolatki opisywały własne

pragnienia w tym temacie, utożsamiając się niemalże z każdą z nich i nie zwracając uwagi na to, że większość historii była bardzo żenująca.

Chciała po prostu miłości. Mężczyzny, który otoczyłby ją opiekuńczym ramieniem i pomógł odnaleźć się w świecie. Pragnęła rycerza na białym koniu, który uwolniłby ją z niewoli w wieży, w jakiej zamknęli ją rodzice – z misji pogromcy, tak męskiej, tak naznaczonej testosteronem, że Hania miała ochotę wymiotować i płakać, ilekroć o tym pomyślała.

Ale kto mógłby pokochać transpłciową Hannę, która nie mogła nawet założyć biustonosza? Podejrzewała, że nikt.

Musiałyby znaleźć kogoś, kto albo nie przejąłby się tym, co miała w majtkach, albo w ogóle by o tym nie wiedział. Ale czy można było nazwać miłością relację, w której jedna ze stron nie zna podstawowych faktów na temat drugiej?

Ze ściśniętym gardłem odwróciła się w stronę słońca, które chowało się już za budynkami. Przyszła pora, by poszukać noclegu.

Wstała z twardej ławki, zarzuciła plecak na jedno ramię i wyruszyła na kolejny spacer po tym obcym mieście, które ani nie przyjęło jej z otwartymi ramionami, ani nie odtrąciło; jakby w ogóle nie dostrzegło jej istnienia.

Dworzec autobusowy nie jawił się jako najlepszy pomysł. Podejrzewała, że jeśli ktoś zacznie jej szukać, to będzie pierwsze miejsce, jakie sprawdzi – w końcu ciężko było ukryć twarz przed kierowcą autobusu, a Hania przypuszczała, że jeżeli rodzice zgłoszą jej zaginięcie, to zostanie on przesłuchany prędzej czy później.

Dworzec kolejowy sprawiał lepsze wrażenie, mimo że śmierdział moczem i bezdomnością. Hania skierowała swe kroki do wnętrza budynku. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wszyscy wokół wiedzieli o jej ucieczce i o tym, że nie ma co ze sobą zrobić... Nie dostrzegła jednak bardziej atrakcyjnej opcji.

Znalazła sobie najciemniejszy, najbardziej opuszczony kąt, w którym rozłożyła swój śpiwór, podłożyła pod głowę plecak i zapadła w płytki, niespokojny sen.

– No i gdzie jest ten dzieciak? – niecierpliwiła się Bożena, zerkając na zegar ścienny. – Spóźni się na lekcje. Idź po niego – powiedziała do męża.

– Nagle cię interesuje? – Paweł Maliniak uniosł brwi. – Jeszcze wczoraj byłaś gotowa wywalić go z domu.

– A, daj spokój. – Machnęła ręką. – Byłam zła.

– Wiem, ja też. – Wzruszył ramionami. – A co byś zrobiła, jakby się okazało... że na naprawdę jest trans? – spytał powoli. – To znaczy, tak na poważnie, nie jako młodzieżowy wymysł, nastoletni bunt czy coś równie głupiego. Tylko na poważnie – powtórzył.

– Na poważnie? Nie wiem. – Wbiła wzrok w jajecznicę i westchnęła krótko. – Julek nie ma mocy czarownicy, więc nie może być na poważnie kobietą, prawda?

– Nie kojarzę, żeby był taki przypadek – rzekł z namysłem. – Niczego takiego nie ma ani w księgach, ani w tradycji. Nigdzie. Mężczyźni to mężczyźni, kobiety to kobiety. Wszyscy mają swoje role. Nie słyszałem o wyjątkach.

– Właśnie. Więc co zrobimy?

– Nie wiem. Dałbym mu więcej czasu.

– Ale ile to jest więcej? Tydzień? Dwa?

Paweł westchnął, kończąc jeść śniadanie.

– Bunt nastoletni trwa trochę dłużej, nawet latami...

– No, bez przesady – prychnęła. – Nie będę czekać kilku lat. Zresztą Julek też musi się ogarnąć, w końcu ma swoją misję.

– On o tym wie. No ale dobra, pójdę po niego.

Podniósł się z krzesła. Nie uważał rozmowy za zakończoną, ale nie widział też sensu w ciągnięciu jej. Zarówno on, jak

i Bożena znali nawzajem swoje zdanie. To Julek był problemem. To on miał inne podejście. To on nagle uznał, że już nie chce być chłopakiem, tylko dziewczyną.

Julek chciał być czarownicą.

To nie miało żadnego sensu; wymykało się wszelkim zasadom i tradycji ciągnącej się od wieków. Może powinien odezwać się do Rady, koordynującej działania pogromców wampirów? Ale co oni by na to poradzili?

– Julek, wstawaj – powiedział głośno, jednocześnie pukając do drzwi pokoju syna. – Spóźnisz się do szkoły.

Nie było odpowiedzi. Ani niezadowolonego mruknięcia, ani szelestu pościeli, ani jakiegokolwiek odgłosu, który mógłby świadczyć o tym, że Julek jest w pokoju. Czy to możliwe, że wstał i wyszedł, zanim ktokolwiek się obudził? A może spał tak głęboko?

Paweł nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się, a jego owionął jesienny chłód. Zmarszczył brwi; Julka nie było, był za to bałagan, jakiego nie widział od dawna.

Zajrzał też do łazienki, ale ta również ziała pustką, wrócił więc pod pokój syna.

– Bożenka? – zawołał w stronę schodów. – Podejdź tu.

– Co ten gówniarz znowu wymyślił? – spytała kobieta z irytacją, zaraz jednak podeszła do męża i rozejrzała się po sypialni. – Gdzie on jest? Co tu się stało? Czemu tu jest tak zimno? – zdziwiła się, po czym zamknęła okno.

– Właśnie... nie wiem.

– Czyli co, wyszedł sobie oknem? – fuknęła. – Z głupim się przez ścianę macał czy jak? Przecież mamy drzwi, można korzystać.

– Wiesz... może trochę zbyt surowo go potraktowaliśmy – rzekł cicho Paweł. – I myślę... że mógł uciec z domu.

Popatrzyła na niego jak na szaleńca, unosząc brwi.

– Uciec z domu? – powtórzyła. – Przecież ma misję.

– Wiem. No ale popatrz. – Powiódł ręką wokół. – Wywalone książki, ubrania, wszystko... a plecaka nie ma. Najwyraźniej spakował się i uciekł.

– Przeklęty gówniarz. Zadzwoń do niego. – Bożena wyciągnęła telefon, ale Paweł pokręcił głową.

– Zostawił komórkę. – Wskazał dłonią na telefon leżący na szafce nocnej.

Opuściła rękę i popatrzyła na męża, a gniew powoli opuszczał jej twarz, by ustąpić miejsca czemuś na kształt obawy.

– Czyli... co my teraz zrobimy?

– Nie wiem. Może zaczekajmy?

– A jeśli nie wróci?

– Może pojechał do twoich rodziców. Na razie chyba nie ma co wszczynać paniki. Później do nich zadzwonimy i zapytamy.

– Dobra. – Westchnęła krótko. – No to czekamy.

Spis treści

CÓRA PERUNA

Rozdział I To nie podlega dyskusji

Rozdział II W nieznane